

Szept Butwiejących Liści

autor: Favri

[Psychological][Romance][Slice of Life]

Są takie regiony w duszy, które – z powołania wyższego ustawodawstwa Natury – stają się przechowalnią dla zdobywanych na przestrzeni Życia doświadczeń. Unikalne, niejednorodne zespoły myśli, wrażeń i przeżyć zostają w nich zapisane, by służyć przyszłemu „ja” radą i wskazówką. W skondensowanym zbiorze faktów i informacji plączą się i wiją obrazy, dźwięki a także i inne doznania, które - splecione wyjątkowym miejscem, wyjątkowym czasem, a wreszcie charakterystyczną dla nich dozłą celów, ambicji, chęci, pobudek, napędów, demotywowatorów, radości, smutków, kaprysów – tworzą to wyjątkowe uczucie, to jedyne wspomnienie zalegające w pamięci niczym zamalowane płótno. Czas degraduje jednak ich intensywność, nic nie szkodząc przy tym wartości. Skojarzenia zostają zapomniane, a drogi do nich zatarte – zastąpione przez nowe i bardziej aktualne wglądy na Rzeczywistość.

Aby odblokować do nich dostęp, potrzebne są odpowiednie *klucze*. Niektóre z nich są nam znane, możemy wówczas swobodnie nimi zarządzać, innych zaś szukamy całe Życie, a tylko przewrotna ręka Fortuny może je przed nami odsłonić. Kluczem może być kęs wyjątkowego ciasta pieczonego przez matkę, woń zatęchłej, wilgotnej piwnicy, jedyny w swoim rodzaju śmiech przyjaciela, prace na polu o brzasku Słońca, albo...

Subtelne dźwięki liry uciekały spod władzy swego instrumentu, tonąc w rozlicznych barwach otaczającej ich jesieni. Niosły się wraz z roztrzepotaną grupą kolorowych liści, popychanych lekkim podmuchem chłodnego wiatru, spływały dostojnie po wzgórku, zapraszając do przyjścia i przysłuchania się przechodzące mimo dusze, syciły się promieniami pomarańczowego zachodu, niknęły wreszcie, absorbowane przez uszy zasłuchanych odbiorców.

Było ich trzech – cóż, z Twilight – czterech: ziewająca już i kompletnie zrelaksowana Bon Bon, uśmiechnięta pogodnie i mrużąca przy naporze wiatru oczy Applejack, oraz głęboko pogrążony w swoich myślach, kary ogier. Znać było, że każde z nich to specyficzne indywiduum, opatrzone wyjątkowymi cechami, i czymś, co ona sama nazywała zdolnością czynnościowo-reakcyjną. Rozumiała przez to potencjał danej istoty do przejawiania określonej aktywności w zaistniałych warunkach, oraz jej skłonność do wpadania na szczególne tory myślenia: pesymistyczne, optymistyczne, a także multum innych postaw którym nawet nie nadano nazw.

Wystarczy im spojrzeć na pyszczki, wszystkie przysłuchujące się tej samej melodii: smętny ogier krążył świadomością gdzieś bardzo daleko, jakby szukając fragmentów swojej rozsypanej układanki. Brał udział w koncercie, ale tylko pozornie – a może właśnie najsilniej? Zależy od punktu widzenia.

Jego przeciwieństwem była Applejack. Kucyk twardo stąpający po ziemi, a i teraz nie dający się porwać marzeniom, szukający kontaktów z otoczeniem, szperający w ciekawostkach i dziwach, jakie oferuje.

No i wreszcie Bon Bon. Jej obecność tutaj nie była raczej zdeterminowana pobudkami estetycznymi, skłaniającymi ją do zapoznania się z twórczością swojej przyjaciółki, ale ona sama, i nie na muzyce skupiała się teraz jej uwaga, tylko na artyście, która ją odgrywa.

Pod wpływem spojrzeń, odwzajemniających jej analityczny wzrok, Twilight musiała spuścić głowę. „*I co z tego?*” – pomyślała, a jej badawcza natura wydała zbuntowany pomruk. „*Co z tego, że potrafi ocenić ich zewnętrzną skórę? Z tej perspektywy to posągi, monumenty ze szcątkowym wyrazem, który zresztą można sfalszować. To wewnątrz rozgrywa się defilada uczuć, istna kulminacja złożonych procesów, stanowiących, że dana istota jest sobą – niepowtarzalnym i absolutnie logicznym w danej chwili*”.

Przekierowała spojrzenie na centrum uwagi zgromadzonych kucyków. Miętowego umaszczenia Lyra ze spokojem i gracją wydobywała harmoniczne tony ze swego sześciostrunowego instrumentu, posługując się w tym celu wyczarowanymi kończynami, rozgałęziającymi się na pięć palików. Na tors miała naciągniętą ciemną bluzę z kapturem, ledwo ukazującymi jej tożsamość.

„*Paradoks obserwatora polega na tym, że podczas gdy dokonujemy jakichś oględzin, sami również jesteśmy obserwowani. Musimy więc się pilnować, i przestrzegać społecznie przyjętych norm, by nie posądzono nas o wścibstwo. Poza tym, doświadczenie o drugim kucyku zbiera się na przestrzeni lat, w wyniku wspólnych spotkań, rozmów, zajęć. Kto mógłby być takim doskonałym obserwatorem?*” – jej wzrok powędrował wyżej, na pniak o który Lyra się opierała. Był to dostojny, wiekowy dąb, z którego sypały się już złote, jesienne liście.

„*Tak, dożywające setek lat drzewo, oznaczone przez biegłych mianem Quercus robur mogłoby spełnić się w tej roli. Ale kto posądziłby je o posiadanie jakiegokolwiek rozumu?*”

Z pewnością był to listopad. Mimo nie posiadania świadomości ani czucia swego ciała, wrażenia bliższe zaznaczały się większą siłą, a takimi były zrzucone liście. Spośród miliona twarzy, zdarzeń i wizji, dwie postacie wybiły się na pierwszy plan.

Śmiech dziecka. Pastelowo zielona żrebica huśtała się z radością na zawieszanej na gałęzi drzewa desce. Przy każdym kontakcie z ziemią odpychała się od niej, już to zwiększając prędkość, już to zasięg bujnięcia. Zaczynała jednak hamować, gdyż oto z naprzeciwka nadchodził jej przyjaciel.

Jego sierść była zupełnie czarna, i tylko biały pasek pociągnięty od pyszczka w górę, do grzywki kontrastował z resztą ciała. Niósł w zębach coś, co wyglądało na czerwony kwiat. Gdy był już blisko, złożył go przed nią, oświadczając:

- Mademoiselle, oto ja, Płochliwe Uszko, składam przed tobą ten wyjątkowy dar, abyś została moją żoną.

Wykonał przy tym szczególny ukłon, zwieszając głowę aż do samej ziemi, a jego ucho, zgodnie z przydomkiem, strzygło nieustannie. Wyglądał czyniąc to tak prześmiesznie a zarazem niewinnie, że adresat tego wezwania nie mógł się powstrzymać i parsknął siarczystym śmiechem.

- Głuptasie, to mak polny! – kary Żrebak wzruszył ramionami i schrupał go na raz – A przy tym trujący... Uszko, co dziś wyczyniasz! – zrugła go, również przyjmując aktorski ton – Jako twoja żona domagam się godniejszego traktowania!

Ich śmiech zginął w rześkim wietrze.

Wargi czarnej maści ogiera podciągnęły się w górę. Wyraźnie znalazł w głębi umysłu coś, co dawało mu szczęście. Chociaż nie... Nie była to zmiana nastroju, nie czerpał przyjemności z siebie teraz, ale raczej puszczał oko do siebie dawnego, do jakiejś już długo przeżytej sytuacji.

„Skup się!” – przywołała się do porządku Twilight, bo teraz ta koncepcja nie dawała jej spokoju – „Nauka nic nie mówiła o zdolności roślin do nabywania i przechowywania wspomnień, przynajmniej nie ta gałąź którą ona zgłębiła. Nie potwierdzała jej, ale, co prawda, również nie przeczyła. Wyróżniała wiele rodzajów tkanek, takich jak tkanki twórcze: merystemy pierwotne, merystemy wtórne, tkanki fotosyntezujące: miękisz gąbczasty, miękisz palisadowy, czy tkanki przewodzące: ksylem, floem, ale mimo tego systematycznego podziału nie do końca zgłębiła ich funkcje, nie wszystkie ich czynności były wytłumaczone. Gdzie mogłoby znajdować się siedlisko myśli, informacji i sądów o Rzeczywistości? W jaki sposób postrzegana byłaby materia?”

Rejestrowane sygnały miały charakter bardzo lotny. Zachodziły z prędkością, do której nie sposób było się dostosować, zareagować w porę, w odpowiedniej chwili.

Wszystko stawało się jednak jasne z czasem. Powolne procesy zespajały ze sobą fakty, łącząc je w sposób logiczny, tworząc ich ścieżkę, po której się poruszały.

Szczególnie „interesujące”, chociaż w rozumieniu własnym pojęcie to znaczyło raczej: „bardziej skomplikowane”, były istoty żywe, zwierzęta. Wschodziły one, młode i kwitnące, pełne energii jak rozpędzona piłka, i z tym nadanym pędem odbijały się od różnych fragmentów otoczenia, cechując je pozytywnie, do tych często wracając, i negatywnie, tych unikając. Nikt im nie kazał tego robić, a jednak rodząc się, zostawały jakby wyzwane, by nieustannie dążyć, nieustannie szukać własnego zakątka. Czego nie mogą wiedzieć, to że w rzeczywistości nie one sterują otoczeniem, lecz otoczenie rozporządza nimi, formując je i rzeźbiąc. Z czasem wytracają nadany im pęd, blaknąc, niknąc, garbiąc się, aż schodzą z powrotem do ziemi, z której wyszli.

Dlatego ten jeden kucyk, który przycupnął teraz w jego cieniu, czyniącym jego umaszczenie jeszcze głębszym odcieniem purpury, nie był niczym więcej, niż pojedynczym westchnieniem.

Przesiadywał tu często, szczególnie upodobawszy sobie ten okres wczesnej jesieni, gdy przyroda mieniała się różnymi barwami, przyjmując przy tym senny nastrój, w przygotowaniu na długi zimowy odpoczynek. Nierozłącznie z książkami, i tym razem wertował pilnie opracowanie niejakiego Płochliwego Ucha, traktujące o ziołolecznictwie, roślinach o działaniu pozytywnym jak i negatywnym dla zdrowia. Szczególnie uważnie przeanalizował tam skutki zatrucia makiem polnym.

Nic dziwnego, że jej się to teraz przypomniało, bo książka zawierała solidną rozprawę na temat możliwości występowania inteligencji w królestwie roślin zielonych. Szczerze mówiąc, chętnie spotkałaby się z autorem, żeby to omówić.

Zastanawiał on się tam przede wszystkim, jakie ewolucyjne podstawy mogłyby być przyczynkiem zaczątku intelektu w biocenozie. Istoty obdarzone mózgiem, lub choćby szczątkowym ganglionem nerwowym, to przede wszystkim te, które żyły w ciągłym ruchu, i z niego czerpały materię potrzebną do życia. Musiały znaleźć pokarm, uchronić się przed drapieżnikami, spłodzić potomstwo, przetrwać. Potrzebowały więc organu, rozróżniającego dobre od złego, i koordynującego ich ruchy. Wspominał on o drobnym żyjątku, żachwie, które wraz z przejściem na osiadły tryb życia pożera własny mózg, który do tego jedynie staje mu się zdatnym.

Po co drzewo miałoby mieć zaszczepioną jednostkę kontrolującą jej poczynania, tak zwaną duszę? Być może była to jakaś ewolucyjna pozostałość po organizmach, które przejęły fotosyntezę na swój użytek, a może...

Docierające informacje nie były najlepszej jakości, najwyrazistsze, ale spełniały zapotrzebowania, stanowiły wystarczające odpowiedzi na zadane zapytania. Ostatecznie przebyły długą drogę, i chociaż impulsy charakterystyczne korzennej tkance nerwowej poruszały się szybko, wiązania między jednostkami nie były najtrwalsze.

Co ważne, skojarzenia z Lyrą i Bon Bonem, z zasięgu całego lasu zostały zebrane, a ich związek utworzył pełną wartość.

Znaczyło to, że sytuacja która się rozgrywała, nie była codzienna:

- A więc uznajesz mnie za nieudacznicę, tak?!
- Nie, po prostu sugeruję, że powinnaś w końcu znaleźć drugą połówkę. Uwierz mi, zmieniłabyś podejście, i...
- Nie uznaję naszego związku za ekwiwalentny posiadaniu męskiego partnera. Chodzi o to, że... - Lyra zacięła się, zagryzając wargi.
- No...?
- Znałam kiedyś pewną osobę. Chciałabym ją jeszcze raz spotkać.

- Posłuchaj, jeśli będziesz liczyła na uśmiech losu, tego pokrętnego skrzata, ten może ci nigdy nie popłacić. Powinnaś sama przejąć inicjatywę.

- Tak, z tym masz rację. Ale jeśli będę miała szukać, to i tak, tylko w jednym kierunku. Będę jak to drzewo, naginające wszystkie liście w kierunku światła.

Lyra skończyła grać. Widzowie, wyrwani jakby z transu, wybili jej kopytami gromkie brawa, takie, na jakie ich było stać, i aby nie zakłócać tej mistycznej atmosfery która się wokół nich wytworzyła. Słońce już zaszło, a chmury reflektowały jeszcze pomarańczowe promienie, jakby się nimi wysyciły.

Trzeba było się zbierać. Ponury kuc ruszył pierwszy, chociaż z ociąganiem, co i rusz oglądając się za siebie. Wyglądał jakby chciał coś powiedzieć, i niewątpliwe było, że w końcu to powie. Lyra i Bon Bon podążyły za nim, a gdy zagadnęły pozostałe dwie dusze czy nie wracają z nimi, Applejack odparła:

- Wybaczcie, ale mamy jeszcze mały obowiązek do wypełnienia. Prawda Twilight?

Twilight przeszył nagły dreszcz. Pierwotnym celem, w jakim tu przyszedł, było ścięcie starego dębu aby pozyskać drewno na uszczelnienie stodoły przed zimą. Miała jednak nieodparte wrażenie, że ktoś albo coś ją ciągle bacznie obserwuje, i to nie jedna istota, ale mnóstwo sędziwych oczu. Odrzuciwszy to nienaturalne uczucie podążyła za przyjaciółką, potwierdzając jej zamiar.

Siekiera uderzyła w pień, robiąc rozległe nacięcie w korze.

Każdej jesieni drzewo obumierało. Sroga zima, niosąc ze sobą niską temperaturę i zalegające warstwy śniegu spowalniała procesy myślowe, prowadząc wreszcie do ich całkowitego zastygania. Zielony chlorofil, świadczący o produkcji życiowych cukrów zostawał wyparty przez żółte ksantofile i pomarańczowe karoteny, które ulatywały wreszcie z rośliny, zapobiegając utracie przez nią parującej wody.

Tym razem jednak śmierć była ostateczna.

W ostatnim podmuchu wiatru, który wtrącił się między jego liście, dało się słyszeć nikły szept:

- Żegnaj, Twilight Sparkle.